Nr. 8. (dodatkowy). Lwów dnia 27. Marca 1883. Rok VI.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE.

Obrazki caryzmu.

Pamiętniki J GORDONA.

(Ciąg dalszy)

— Biorę pana na świadka, w braku kogoś innego, rzekłem z całym chłodem, na jaki się tylko zdobyć mogłem, że nie mam zgoła zamiaru, najmniejszego zamiaru, wykroczyć przeciw prawu karnemu pod aresztem, by wywołać przez to uśmiech zadowolenia na twarzy wielmożnego komisarza policji.

Po tej ostatniej próbie, nie widziałem więcej, ani Abramowicza, ani jego bandy.

Zbawiłem się przecież od nich.

Dziewięć dni upłynęło, jednostajnych, długich, jak dziewięć wieków.

Dnia dziesiątego, na chrzest wrzeciądzów o niezwyklej porze, ostatniem, mocnem uderzeniem w ścianę, w którem cała moja ozwała się dusza, pożegnałem nadobną sąsiadkę i opuściłem komnatę w towarzystwie nadzorcy więzienia, ubranego w pełną formę.

Dorożka zakryta oczekiwała przed bramą.

Ciekawość moja była bez granic, co to dalej będzie?

Jedziemy prosto na Saski plac.

Widzę się w biurze komendanta Warszawy jenerała Tuczka. Nikt do mnie nie mówi, ani słowa, tylko spoglądają z pod oka. Nadzorca wyjął jakąś ekspedycję, z wielką pieczęcią, jakby namiestnikowską, wręczył, wziął pokwitowanie, skłonił się i odszedł. Mnie zaś adjutant z pomarańczowym kołnierzem odprowadził niezwłocznie na główny odwach, nie szczędząc przez drogę słów pociechy, gdzie i przenocowałem. Przed odejściem dawał jakiś rozkaz półgłosem oficerowi warty, którego z pochwyconych słów dobrze nie mogłem zrozumieć, nie znając jeszcze języka rosyjskiego, a nazajutrz rano oddano mię naczelnikowi inwalidów, na punkt zborny Pragi.

Stało się! — Jeden więcej gwałt publiczny caratu! Mówię: caratu — a nie Rosji, gdyż ta ma jeszcze ludzi, co pojmują, iż system eksterminacyjny jest dla samegoż ich narodu najcięższem pętem niewoli.

II.

Przysięga na punkcie zbornym Pragi.

A więc trzeba podróżować, bo tak rozkazano!

Na drogę potrzeba było wykonać przysięgę w starym kościółku na Pradze, bo tak kazano i musiano.

Powtarzając rotę przysięgi po księdzu, powolnie, z cicha, w asystencji szpady oficera od inwalidów, myślałem sobie: gdyby cię księże rozbójnicy napadli i kazali sobie dać rozgrzeszenie za wszystkie ich zbrodnie, czyżbyś im go odmówił?

Ale w tej chwili, na stopniach tegoż samego ołtarza, odbywała się w mem sercu, inna, uroczysta, nieprzymuszona przysięga, w obec Twórcy i mego sumienia. Komu i na co, trudno to było obcemu wiedzieć; tą razą trudno mię już było podsłuchać. W głębi duszy wyryły się słowa:

Że tylko jedno upodlenie ducha,
Skłonić może wolnego szyję do łańcucha.

jakoteż:

„A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, ale duszy zabić nie mogą."

Plac pragski, to początek mojego długiego wojażu.

W grubej opończy szarej, w czapce szarej z wielkim kwadratowym daszkiem, z zarzuconym na karku mantelzakiem szarym; szaro, szaro, lecz z głową podniesioną, oczekuję rychło w marsz zawołają. Czupryna na mnie przy samej skórze ostrzyżona. Dokąd zaś przyjdzie błądzić po świecie, w którą stronę zagnany zostanę, jest to dla mnie tajemnicą.

Widzę się w partji etapowej, złożonej z kilkunastu różnej barwy ludzi: to mają być moi towarzysze podróży i niedoli razem. Kozaki na koniach i piesi nas otaczają. Ten się żegna z matką, ów daje ostatni pocałunek żonie, której zapewne nigdy więcej nie zobaczy; ja tylko czuję się samotny i opuszczony — ale nakoniec i do mnie Bolesław nadbiega — odetchnąłem. Już zbył on moje suknie, zegarek i t. d. a w zamian przyniósł mi pikowany kaftanik; ważny to kaftanik, bo ile na nim było guzików, tyle w nich mieścił zaszytych imperjałów. Co większa, wsunął mi takoż dokładną mapę Rosji, o którą go prosiłem.

Winienem tu nadmienić, że wyrwał się on przecież ze szponów, lecz pod warunkiem, że złożył w policji piśmienną deklarację, iż nigdy w towarzystwa podejrzane wdawać się nie będzie, a w razie odkrycia takowych, niezwłocznie doniesć policji nie omieszka.

Ale otóż i uradnik kozaczy wychodzi z kancelarji ze skórzaną torbą i nahajką w ręku: siada na koń, komenderuje i nasz etap sunie się zwolna, pomału, smutno, w milczeniu, coraz dalej, coraz dalej — odprowadzany lamentacjami kilku żydówek, żegnających z rozpaczą macierzyńską swoje, jak nazywały: pochwycone kochane pacholę.

Ktoś tam w partji odezwał się na harmonijce. Smętne tony pogrzebowego marsza łzy wycisnęły Bolesławowi; kiwając głową, rzucił mi się z rozrzewnieniem na szyję.

— Doniosę o wszystkiem zaraz twojej rodzinie — rozczulony zawołał.

— I dodaj, że będę na Zachodzie.

— Jakto? — czy tak? — miałżebyś — tylko na Boga, ostrożnie!...

— Bez wątpienia; — teraz, bywaj mi zdrów i szczęśliwy; dziękuję ci i żegnam ciebie!

— Jeszcze jedno słówko: jaką nosić pamiątkę naszego, może ostatniego widzenia się na tym świecie goryczy?

— Krzyżyk na szyi.

I rozstaliśmy się.

Za kilka minut obejrzałem się, a piękna i zawsze młoda Warszawa, kąpiąca się w Wiśle, ukazała się jeszcze oczom moim, jak olbrzymia dekoracja z czarownej melodramy. Wtedy głęboki żal mię ogarnął; mnóstwo wspomnień rodzinnych ubiegłej przeszłości: domowa strzecha, piosenki matki nad kolebką mojego dzieciństwa, pamiątki młodocianych igraszek, słowem, owej niepowrotnej przeszłości, tłumem cisnęły się do duszy.

Ale później, im dalej szedłem w drogę, oddalając się od wszystkiego co niegdyś było drogiem dla serca, tem różniejszych doznawałem uczuć, z jednej ostateczności wpadając w drugą. Zbyt młodo dotknięty klęską, pomimo całej tkliwości wrodzonej, zdziczałem niejako na umyśle. Świat, na który tak różowo przedtem patrzyłem, wydawał mi się niewdzięcznym, i niewyraźne przekleństwa konały na mych ustach.

O Abramowiczu! siliła się natura na wydanie takiego potworu i w ciężkich konwulsjach cię porodziła — a iluż to takich Abramowiczów?

Nie miejsce tu rozwodzić się nad własną psychologją; lecz przychodzi mi na myśl, że ileż to tysięcy ofiar, zakopanych żywcem

w kopalniach Nerczyńska, wałęsających się między arkanami i strzałami hordy kirgizów, lub wycieńczonych żółtą febrą w szpitalach Kaukazu, doświadczało podobnie gwałtownych wzruszeń — lękając się z nich nawet we śnie wyspowiadać!

Boże! daj nam cierpliwość!...

Jeszcze razy kilka obejrzałem się na Warszawę i zdaleka, tęskno, poglądałem na jej nikuące w obłokach wieżyce, jak na palce groźnie ukazujące ku niebu — nakoniec i te roztopiły się w błękicie.

Żegnam cię ojczysty grodzie!

Uszedłszy cztery mile, przybyliśmy na nocleg do Okuniewa.

Upadłem zmęczony na deski, służące za posłanie w etapnym domu, i nie obudziłem się aż nazajutrz.

Bodajto młodość! Nazajutrz ze świeższym wyszedłem umysłem i uśmiechałem się do przechodzących.

Takim samym trybem upłynął dzień drugi, trzeci i następne.

Czasami zbyt utrudzony moralnie i fizycznie, stawałem się obojętnym, nieczułym na wszystko, co mię otaczało, na wszelkie przygody losu; i takiego to stanu właśnie w ciągu dalszego życia najwięcej się obawiałem, jako upadku na duchu. Wówczas krzepiłem się zdaniem Fenelona, że ażeby być wyższym nad nieszczęście, trzeba niem pogardzać!

Co się tyczy dalszej podróży, ta była dosyć jednostajną. Tylko wolna pieśń ukraińska, zanucona chórem kozaków; tylko brzęk kajdan niektórych wyrzutków społeczeństwa, lub wychylająca się jasna twarzyczka z przejeżdżającego powozu; tylko napisy więźniów politycznych na ścianach etapów, a przed tygodniem tamtędy idących, urozmaicały czasem takową.

Tak minąłem Siedlce, Białę — skąd znalazłem sposobność wysłania listu do rodziców — Terespol, wspaniały most wiszący na drutach nad rzeką Bugiem, i przybyłem za granicę Polski kongresowej, do fortecy Brześcia Litewskiego, gdzie zmienił się obrazek mojego dramatu — nastąpił akt drugi.

III.

Nocna biesiada w Brześciu Litewskim.

Brześć Litewski! Zamknięto mię tu, że tak powiem, w *zamknięciu zamknięć*; bo nie dosyć, że wały twierdzy oddzielały mię od kraju, a mury od twierdzy, potrzebaż jeszcze było, aby żelazne zapory u drzwi kazamaty, oddzielać mię miały od ziemskiej atmosfery?

Montesquieu, pisząc o prawodawstwie, uczynił uwagę, że im więcej postępujemy z południa ku północy, tem więcej napotykamy pijanych — ja zaś zauważyłem w ciągu mojej zbyt *praktycznej* podróży, że im dalej w posiadłościach Rosji, posuwamy się z zachodu ku wschodowi, tem więcej napotykamy *więzień*.

W Królestwie, a nawet w pogranicznych mu zabranych krajach, trudno jest rządowi uorganizować się w kłódki, łańcuchy i pręgierze. Tam z trudnością przychodzi osuszanie tego olbrzymiego drzewa życia, które wycierpiawszy tyle burzliwych zamieci wschodnich uraganów, stoi przecież, pamięta, czuje siebie i zawsze jest pokryte liściem nadziei.

Otóż, w Królestwie, moskiewskie konwoje, etapy, znajdują swe stacje oprócz fortec, jedynie tylko na odwachach w głównych miastach, lub w jakiejś kamieniczce na ten cel najętej; u żyda też pachciarza, stodole, stajni karczemnej, lub w pustych chałupach po wsiach, a w *kurnej chacie* u wieśniaka na Wołyniu. Rzadko gdzie jeszcze postrzegać się daje umyślnie na więzienie zbudowany dom, otoczony palisadą i to tylko przy głównym gościńcu.

Ale za to głąb Rosji zupełnie inny przedstawia widok. Tam to zajrzyjcie panowie angielscy filantropi, turyści z powołania, a ujrzycie jak stacje pocztowe, tak wszędzie więzienia po drogach; a zobaczycie z bliska i poznacie ten naród, nad którym trwoga i knut despoty panuje — naród rozdzielony na dwie klasy społeczne: na *bitych i bijących*.

W Rosji, najpierwsza rzecz, która uderza oko podróżnego, zbliżającego się gdzie bądź do jakiego miasteczka, jest cerkiew, wznosząca się pysznie z pomiędzy gromady drobnych domków; cerkiew w bizantyjskim stylu o pięciu kopułach i pięciu błyszczących krzyżach — a opodal niej wielki budynek z ogromnym na frontonie szyldem: *Tiuremnyj Zamok*, gdzie jęczą białogłowy, dzieci, zbrodniarze i niewinni, zmięszani częstokroć, jak zwierzęta razem, jęki swe wyrażając najczęściej tem charakterystycznem przysłowiem:

„Do Boha wysoko — do cara daleko!“

W Rosji już nie kozacy, nie inwalidzi piesi, jak n.: p. na Litwie, przeprowadzają aresztantów, ale osobna do tego konna komenda, stale uorganizowana, rozciągnięta, jak sieć we wszystkich kierunkach, snuje się z delikwentami o wyznaczonych godzinach, od stacji do stacji.

Powróćmy do Brześcia.

Na ten raz w Brześciu duszno mi było za nadto. W izbie, do której partja, z którą przybyłem, zapakowaną została, partja znacznie powiększona w drodze przez wyszłych ze szpitali, polskich rekrutów, znajdowało się nadto kilkunastu sołdatów, tudzież cywilnych. Straszne to oblicza! bo sołdaci mieli pogolone głowy do połowy, zaczynając z przodu od czoła, a cywilni z boku od ucha, wedle praw aresztanckich rosyjskich.

Wyziewy, para, brud, ścisk, harmider, piekło — były nie do zniesienia.

Wywiedziony z granic cierpliwości, poskoczyłem do drzwi i silnie zastukałem.

— *Ty szto szumisz?* odezwał się stojący na straży żołnierz w korytarzu, zaglądając przez okienko.

Powiedziałem mu, że chcę widzieć niezwłocznie nadzorcę więzienia (*smotrytiela*).

Mruknął sobie coś na me słowa i odwrócił się.

Wtedy nie umiałem już nad sobą panować — wściekłość mię ogarnęła. — Czy słyszysz sołdacie?! zawołałem piorunującym głosem. — Mam ważny *sekret* — czy słyszysz? *Smotrytiela* tutaj czemprędzej!

I mało co krew mi nie uderzyła do głowy.

Na te słowa dopiero przyzwał on podoficera i zakomunikował temuż me żądanie.

Jakoż i smotrytiel, moskal, wkrótce przybył. Ostatniemu oświadczyłem z drżeniem gorączkowem, że należę do kategorji tych przechodniów *dworjan*, których tu widział zapewne przed tygodniem, że uciśnienie jakiego doświadczam, jest nad moje siły; że jestem słaby i nie ręczę za siebie, jeśli nie raczy mię oddzielić od tego miejsca okropnej pokuty.

— Spojrzyj pan nakoniec na mnie, dodałem, może i pan mas[illegible]ów; powiedz więc, czy wedle sumiennego zdania, sądzisz mię być zbrodniarzem?

— Wszystko to dobrze; lecz co pan tu za hałasy wyrabiałeś? — oskarżają pana.

— Eh! panie, rzekłem z goryczą, postaw się w mojem położeniu i wybacz mi; ale ciśnijcie robaka, to syczeć będzie — cóż dopiero człowiek walczący między życiem, a śmiercią.

Smotrytiel słuchając, tylko ramionami wzruszał i zanim dał odpowiedź, udał się do biura by dowiedzieć się, co jestem *zacz*; a z powrotem oznajmił, że papiery moje odprawione zostały torem zwyczajnym, prosto z Warszawy pocztą do miejsca mego przeznaczenia. Na liście zaś przechodniów, jaką miał tylko, mających się udać aż do głównej stacji Kijowa, na której i ja zamieszczony byłem, *bez wyrażenia jednak mego stanu*, w rubryce każdego jest dodano: pod *nadzorem*, gdy w mojej niestety: *pod najsroższym nadzorem*, a w takim razie w czemże mi pomódz może.

Przemawiał z pewnym rodzajem poczciwości, odkrywając to, o czem nie wiedziałem. Wytłumaczyłem mu więc, że dopisek: „najsroższy nadzór“ właśnie jest dowodem, iż nie jest zamiarem *opiekuńczego* rządu, abym umarł w drodze w skutek braku nadzoru.

Roześmiał się i przeprowadził mię do infirmerji, wesołego i czystego pokoiku, utrzymywanego więcej dla parady, jak dla rzeczywistego użytku — co nie jest nowiną w Rosji — dokąd, jak z piekła do raju się dostałem i w którym miałem zostawać całe trzy dni mego pobytu w Brześciu, dawszy mu słowo, że nie nadużyję jego zaufania.

W infirmerji nikogo z chorych nie było; ujrzałem się pierwszy raz po wyjściu z Warszawy samotnym — skłamałem; miałem towarzyszy oprawnych w poł-skórki; smotrytiel, bowiem, przyniósł mi kilka książek do czytania. Jedyna to uciecha dla więźnia — ale nie do książek mi było.

Zrzucam ja ciężki mantelzak, a ochłonąwszy nieco, zaczynam się zastanawiać nad wszystkiem, co się ze mną stało, i zbierać rozpierzchłe myśli w jedno ognisko, czego

dotąd uczynić nie byłem w stanie. Źle ze mną, myślę sobie; coraz dalej, to gorzej. Żal za przeszłością, jak w obecności, a przyszłość czarnym kirem pokryta przedemną. — O! znośniejsza śmierć nad takie istnienie, ale to trwać długo nie może, jak każda ostateczność!

Po długiej walce wewnętrznej, wyciągam nareszcie z zanadrza kochaną mapkę, wpatruję się w nią pilnie i idąc za popędem instynktu ochrony przed niebezpieczeństwem, różne projekta układam w głowie. Nakoniec, stworzyłem sobie nadzieję — jeden plan powziąłem stanowczo i postanowiłem wszystko, co się da, do niego odnosić; a zaraz lżej mi się zrobiło. Lecz ciszej, zdradzam zamiary, które mi wyobraźnia kreśli! Zatopiony w dumaniach, ani zauważyłem, że warta dzienna się zmieniała, i że oficer zdawał, jak owce pod rachunkiem, następnemu: boży ludek mieszkający za kratkami.

Z kolei rzeczy, obadwaj nadeszli i do infirmerji.

Spojrzeli na mnie — ja im się skłoniłem, a oni jak przyszli tak i wyszli — ale w pół godziny potem, nowy oficer, już sam jeden, pozbywszy się swego poprzednika, powrócił do mnie i złamaną polszczyzną przemówił!

— Pan przeglądałeś mapę, o ile mi się zdaje. Mój Boże, zapewne daleka droga go czeka?

Nie umiem wyrazić radości na tę sympatyczną odezwę. Gdy się jest opuszczonym, jedno słówko przyjazne tak nam jest drogie! Przyjąłem go zatem z całą uprzejmością; usiedliśmy, zapaliłem podane przez niego cygaro, a potem długośmy z sobą rozmawiali.

Był to dobroduszny litwin; od młodości służył w wojsku, przeszedł różne koleje losu, był kapitanem płatnikiem na Kaukazie, lecz w skutek zbytniej łatwowierności, zdradzony przez towarzyszów broni moskali, najniewinniej zdegradowany został w sołdaty. Znowu się trzeba było dosługiwać. Za otrzymane więc rany w bitwie z czerkiesami, znowu go posunięto stopniowo do rangi porucznika; ale ponieważ każdy ma zawsze swojego mola, co go gryzie, biedak, miał go wiec i teraz, lecz na ten raz mól jego był w niezwykłych rozmiarach, którego nazywał naiwnie k a n a l i j k ą. A tą kanalijką była to córeczka nadniemeńska, blondynka, z czarnemi ognistemi oczyma, do której, jak mówił, serce jego p r y l i p ł o jak klajster, i z którąby się chętnie ożenił; lecz na nieszczęście pewien adjutant kozacki, umiejący lepiej od niego po polsku, j a w n o g r z e s z n i k, jak go nazywał, palił do niej cholewki. Frasował się więc, ażeby się litwinka przypadkiem nie s k o z a c z y ł a.

Biedak z rozrzewnieniem wymówił to ostatnie słowo i dodał, że chciałby do niej napisać, atoli sam nie umiejąc, jak należy, wstydzi się prosić kogoś w mieście o wyręczenie, aby go nie wzięto na języki. Wyraźnie przymawiał się do mnie. Zostawszy mimowolnie tłumaczem jego myśli, schwyciłem za pióro i wyciąłem list sążnisty do litwinki, nie szczędząc strzelistych afektów.

Z tem wszystkiem żal mi się zrobiło poczciwego litwina. Historja jego życia, jakiż to bolesny obrazek i jak wiele dający do myślenia.

Z drugiej strony, czyż mogłem przewidzieć, aby usługa tak drobna, wpłynąć mogła na mą przyszłość; a jednakże tak się stało, jak to się okaże.

Dziwnie się jakoś wszystko kojarzy na tym padole. Jakże często losy człowieka, a byt całych narodów, wiszą na jednym włosku!

Odtąd z litwinem staliśmy się przyjaciołmi.

Aby mi nie zbywało na towarzystwie dni następnych, po zmianie jego warty, poznajomił on mię w tem samem więzieniu z pewnym oficerem od leśnictwa i poetą zarazem, który już od kilku lat tu się znajdował i jeszcze nie mógł ukończyć swego procesu w skutek intryg komendanta twierdzy. Leśnik, kurlandczyk z urodzenia, naoczny świadek mnóstwa ciekawych scen więziennych, blady, jak jego mury, z duszą jednak gorącą, zaprowadził mię do swej alkowy, a rozpruwszy siennik na którym sypiał, z miną tajemniczą długo w nim szukał czegoś; nareszcie wydobył z tego słomianego archiwum zwój papierów, czarną przewiązanych wstążką, pocałował, jakoby relikwje, rozwinął i oddał mi w ręce. Cóżbym dał za to, gdybym był obecnie posiadaczem tego nieocenionego rękopismu! Wszystko, co wyobraźnia, bogactwo myśli, wzniosłych uczuć, przelać mogą na papier, tam się znajdowało skreślone ręką polskich wygnańców w formach piosenek, ballad, dewiz, różnych strof, strofek, akordów i urywków z dramatów. Odczytałem co mogłem i rękopism wsunął się znowu w gruby płócienny worek, jak do trumny, oczekując zmartwychwstania.

Tegoż samego wieczora, była kolacja zastawiona w infirmerji. Zaufany żołnierz, polak, został postawiony na warcie, przed frontem odwachu przy bramie turmy, a drugi podobny jemu, w korytarzu. Litwin zaś, kurlandczyk i w burej s z y n e l i koroniarz, wznosili toasty. Cisza panowała do koła; tylko od chwili do chwili przeciągły okrzyk „s ł u - s z a j!“ szyldwachów fortecy, mieszał nam nocną gawędę; tylko brzęk łańcuchów przewracającego się we śnie aresztanta, przechodził przez zapory do naszego ucha. Różne tam zaprawdę między nami były pogadanki. Każdy, naturalnie, wynurzał przedewszystkiem to, co mu ciężyło najwięcej na sercu. Już spełniliśmy zdrowie kanalijki; ja zaś na deser, spojrzawszy na moskiewskie mundury mych współbiesiadników, powiedziałem im powiastkę następującej treści:

„Horda tatarów zajadle napada na obwarowane szańcami wzgórze, skąd mężny daje odpór garstka walecznych polaków; ale przemoc tłuszczy rozjuszonej wkrótce ma wziąść górę. Już głosy: k t o s i ę w o p i e k ę ozwały się chórem oblężonych. Prałat przed figurą Zbawiciela, wzniesioną na samym szczycie, otoczony duchowieństwem, gronem niewiast i rycerzy, błogosławi wiernym braciom w Bogu, a poważny jęk dzwonu, wtóruje pieśni pobożnej. Chwila to wielka, chwila uroczysta; hymn wysłuchany został i cud się zjawił. Patrzcie niedowiarki: oto Chan tatarski, zamiast prowadzić naprzód hufce dziczy, nagle zatrzymuje się, jakby piorunem rażony, staje, zastanawia się, oczy mając w jedno miejsce wlepione, tam, gdzie się odbywała ofiara święta; słucha i jakaś melodja, jakaś dziwnie miła harmonja, rajska muzyka uczuć, przygrywa jego duszy przebudzonej. Zda mu się, że te same śpiewy, też same dzwonki słyszał on kiedyś nad kolebką swego niemowlęctwa; zda mu się, że gdzie myśl jego teraz spoczęła, tam jego ojczyzna i popioły nieznanych mu przodków, które szedł znieważać; co większa, przypomina sobie nawet te same miejsca i toż samo wzgórze. Przypomina sobie dzień okropny, pożar we wsi, zamieszanie, gromadę zbrojną w chacie, krzyk rozpaczy swej matki — słowa: r o d z i n a, o j c z y z n a, niby echo przeszłości, konają mu na ustach. Słowem, cud to niesłychany. Z rozpaczą wyrywa sztandar, jaśniejący półksiężycem z dłoni przerażonego m u ł ł y i miotając przekleństwy, niepomny na wielkiego A l l a h a, druzgoce go o czaszki tatarskie.“

Legenda już przebrzmiała—moi współbiesiadnicy jeszcze jej słuchali. Brzmiała w ich sercach, choć umilkła dla ucha. Nastąpiło ciche westchnienie, północ i serdeczne dobranoc. Patrol miał obchodzić kordegardy, potrzeba się było rozejść.

Trzeciego dnia, dnia ostatniego mego pobytu w Brześciu, kurlandczyk dał mi kilka listów rekomendacyjnych w dalszą podróż, a spodziewając się sam być zesłany na Kaukaz i może tam mię spotkać, skreślił na pożegnanie, te trzy tkliwe zwrotki:

Kohda uproszu ja Boha,
S'menia okowy posnimat'
Tohda pierwaja doroha,
Tebia moj druh, tebia obniat'.

I w żiznienoj puti,
Wsiehda bud' szczastliw ty,
No nie zabud' ty obo mnie,
Chot' budiesz w dalnej storonie.

Meżdu Kawkazkimi gorami,
Najdi ty szczastije swoje,
I kak uwidiszsia s druzjami,
Otdaj pocztienije moje.

IV.

Pogląd filologiczny na język rosyjski.

Zanim przystąpię do dalszego opowiadania mych przygód, rzucić muszę kilka poglądów filologicznych na język rosyjski, wspomniawszy o oficerze litwinie, który tak p r y l i p do kochanki, a z nim i o wielu innych, z których jedni złamali język własny, a nie zdołali nabyć obcego; drudzy gorzej, bo zaparli się rodowitego, a przyswoili cudzy.

Cyprjan R o b e r t. w broszurze: D e u x p a n s l a v i s m e s, nazywa język rosyjski j ę z y k i e m k o m e n d y; ja zaś nazywałem go zawsze barbarzyńsko-śpiewnym. Jakto? zawoła nie jeden z unoszących się nad jego pięknościami.

Porównajmy go z językiem polskim i innymi: n. p.:

Skarb.

Ten wyraz wywodzi się od karbu. Ojcowie nasi karbowali ilość darów, złożonych w skarbonę w ofierze. W łacińskim i francuskim języku: thesaurum, tresor, mówi coś o złocie. Jakaż jest etymologja skarbu w rosyjskim? Zaprawdę, bardzo ciekawa, posłuchać proszę:

Iwan Groźny, gdy w pień wyciął republikańskich nowogrodzian, kazał skonfiskowane majątki kaźnionych, poznosić do skarbu publicznego (kazny).

Kaźnić kaznit', skarb, kazna; kasjer, kaznaczej; są to więc wyrazy do dziś dnia niezmienione, nawet w języku urzędowym, i tak trafnie po wszystkie czasy oznaczające grabież moskiewską.

Bez wątpienia, niewola i despotyzm wpłynęły przeważnie na rozwinięcie się w ten sposób języka. Nie wchodząc w wywód jego zupełny, przedstawiam tu niektóre próbki w takim stanie, w jakim się obecnie znajdują.

Żartować z kogo; śmiać się z kogo i t. d.

Żartować z kogo, szutit' nad kim; śmiać się z kogo, smiejatsa nad kim. Cóż to znaczy? A oto, że moskal śmieje się z ciebie, szydzi z ciebie, wtedy, gdy już ma górę nad tobą.

Doktór, lekarz.

Zowie się u nich wracz od słowa wrat', łgać. Gdy mnóstwo cudzoziemców przybyło oświecać ciemną Rosję, tem ich ochrzczono imieniem — i do tego czasu lud nie wierzy w nauki. — Uczonego z przekąsem i urąganiem nazywa fizykiem. Wot kakoj fizyk?! — Co mi za mędrek?!

Skompromitować się.

To słowo jest spolszczone. Przodkowie nasi go nie stworzyli. Po rosyjsku skompromitować się, wyraża się jedynie przez: Udarit' licom w griaź — twarzą w błoto upaść. My nie udarim licom w griaź — my twarzą w błoto nie uderzymy — słyszysz bezustannie powtarzających moskali, zwłaszcza, gdy ci co obiecują: ale nie dowierzaj zielony krótkowidzu, bo czyż sami ci nie powiadają, że oni póty się nie kompromitują, dopóki swych twarzy błotem nie zmażą.

Cnota.

Dobro-dietel; wyraz złożony, jakkolwiek tak ważny; a jako złożony wedle przyjętego pewnika filologicznego, nie źródłosłów to, nie pierwiastek, ale wynik z późniejszych potrzeb.

Pewny.

Certus. My pojmujemy to za pewne, co wypłynęło, że tak powiem, z certowania się, rozumowania, dociekania prawdy; po rosyjsku zaś, pewny, wiernyj; pewnie, wierno, wiara, wiera; upewnić się, uwierit'sa. Dla nich wszystko jest pewne, co się opiera na ślepej, nieoświeconej wierze. Ztąd car dotąd jest pewny, choć groźny Jehowa ziemski, a wyrok jego: byt' po siemu! — tak być ma! — jest świętym wyrokiem, i t. d.

Przysłowia rzucają więcej światła na charakter narodu, niżeli pojedyncze wyrazy. Weźmy na przykład choć jedno pod rozbiór.

Pokłon uśpiechu.

Kto chce je zrozumieć w całem znaczeniu, niechaj zamiast jechać na karnawał do Wenecji, zajrzy do Moskwy.

Ostatki w Moskwie. Ulubiona, szalona szlichtada ma się zacząć. Tłumy ludu oczekują niecierpliwie naznaczonej godziny wyścigów; ale i ta nakoniec uderza. Woźnica świsnął przeraźliwie, konie zadrżały, poskoczyły i znikły.

Proszę widzieć, jak dwie dziarskie trójki biegunów stepowych, uprzężone w orła, z dzwonkami, puszczają się w zawody. Tylko kawały śniegu zlodowaciałego pierzchają z pod ich kopyt; tylko knuty, podniesione do góry przez wychylonych z sanek woźnic, migocą w powietrzu, a trójka trójkę naprzemiany mija, to dogania, to znów mija, bo chodzi o to, kto pierwej do mety dobiegnie i otrzyma puhar złoty. Tysiączne hurra! widzów ozwały się do koła.

Powodzenie ścigających się długo było niepewne; ale otóż i przypadek może coś zdecyduje, bo koń u jednych sanek pada. Pokłon uśpiechu! pokłon uśpiechu! nagle wrzasnęły tłumy.

Woźnica się jednak nie zraża, lecz wyrywa kindżał z za pasa i lotem błyskawicy odcina uprząż upadłego nieboszczyka, zostawiając go na śniegu, sam zaś, o dwóch pozostałych rumakach, dościga, nie tylko, że dościga, ale prześciga swego współzawodnika. Już, już, jest blisko mety—hurra znowu zagrzmiało w powietrzu.

Na to powitanie, ostatnie daje on dowody zręczności; ale trzebaż nieszczęścia, drugi raz podobny los go spotyka, drugi koń, pośliznąwszy się, wykręca nogę i pada na drodze.

Dzielny woźnica z rozpaczą spojrzał ku niebu, przeżegnał się; nie traci jednak przytomności, ale i na ten raz rzuca się z sanek z kocią zręcznością i odcina biedną szkapę, a sam, sam o jednej pozostałej staje pierwszy u mety z tuż za nim doganiającą go trójką. Stanął, to prawda; ale jego ostatni biegun wzdrygnął się razy kilka z przesilenia, i tocząc pianę, zachwiał się i upadł.

Pokłon uśpiechu! Pokłon uśpiechu! znowu zewsząd zawołano.

A teraz, panowie cudzoziemcy, mistrzowie w wyścigach, proszę powiedzieć, jak wam się też zdaje: któremu z dwóch woźniców ofiarowano puhar? Bez wątpienia zawołacie jednogłośnie, że temu, który dokazał cudów zręczności, na złość fortunie, która mu się wcale nie uśmiechała.

Otóż się mylicie; bo nie znacie, ani języka, ani charakteru moskali. Teraz więc wam powiem, że pokłon uśpiechu znaczy: cześć powodzeniu. Zręczność, talent, siła, odwaga, to wszystko u nich nie wiele ma znaczenia, bez powodzenia. Zauważałem to wielokrotnie, chociaż, jak wiadomo, nie ma reguły bez wyjątku.

Woźnicy żyjącej trójki przyznano więc nagrodę. Oto fakt! oparty na przysłowiu, który więcej mówi od filologicznej teorji.

Z ogólnego poglądu na język rosyjski okazuje się, że tenże nie objawia przenoszenia mocy twórczej słowa w masę narodową. Zaimek osobisty: ja, który tak wielką gra rolę w mowie polskiej, który nie wiedzie bynajmniej do egoizmu, ale owszem, rozlewając swą siłę na całą mowy rozległość, czyni ją mową wolną — zaimek ten prawie nie ma miejsca w mowie rosyjskiej; ale za to w ciągłem tam jest użyciu inny, zupełnie mu przeciwny. Tym zaimkiem jest: ty. Takie ty jest wyrazem wywierającego się ja na drugość, nie dla jej ożywienia własną potęgą, tylko dla zmaterjalizowania, do podeptania. Jest to język absolutnego despotyzmu. Na przykład: kak ty smieł!? Sam akcent jest uderzaniem, przyciskiem wywierania się na drugość, rozwścieklonym hukiem, jak pięść ustopniowanego żołdaka, policzkująca bezprzestannie, prawie do zbryzgania szczęk, zbydlonego żołnierza.

O! ochraniajmy nasz język od moskiewszczyzny, bo jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców tyle czystości ujęło naszemu językowi, czegóż się nie lękać od spojenia? O żądzo narodowej sławy! o zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ginąć macie? Dwa sławne przykłady greków i rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego języka. Wymazane są z geograficznej karty dwa te najsławniejsze narody, a imię ich, w porządku historji politycznej i moralnej, błyszczy przed wszystkiemi.

„Zaprawdę, rzekł Libelt, z rozbitej nawy narodowej, na jednej łodzi, z języka naszego możemy się ratować. Umiłujmyż ten język, jako świętą krew matki. Powinna ona nam być tak drogą, jak drogą była pierwszym chrześcijanom krew przelana w męczeństwie za Chrystusa. Zbierali ją w flaszeczki i dawali męczennikowi do grobu z napisem: pro Christo. Podobna zasługa jest uprawiaczy i kształcicieli języka narodowego i dzieła ich w tym przedmiocie pisane, powinny im być dawane do trumny z napisem: pro patria."

V.

Konwój moskiewski.

Opuściwszy tiuremnyj zamok w towarzystwie po większej części rekrutów, ze zwykłego naboru wojskowego, zostaliśmy odprowadzeni pod konwojem z odwachu do kancelarji inwalidnej; z Brześcia, bowiem, już nie kozacy, ale inwalidzi z karabinami przeprowadzają aresztowanych w głąb Rosji. W kancelarji oczekiwaliśmy dalszych rozkazów; ale jakież było moje zdziwienie, gdy znienacka wnoszą tam z brzękiem sztaby żelazne, długie na parę sążni, na których były ponasuwane rękojeście, czyli raczej kółka, jak gdyby służące do przyczepiania rąk ludzkich. Każda sztaba była opatrzoną na końcach wielkiemi kłódkami, nie dającemi rękojeściom zsuwać się z tejże.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Julian Piotrowski. Z drukarni K. Pillera.

Dodatek inseratowy

do

„DZIENNIKA DLA WSZYSTKICH"

Józef Lunda restauracja po Janowiczu, ul. Jagiellońska l. 4. **Najlepsze i najtańsze** jedzenie i picie w całem mieście. **Przytem towary wchodzące w zakres** handlu korzennego i **przepyszne**, a tanie wędliny wszelkiego rodzaju. (d—3)

B. Kurzer poleca swoją pracownię od 15 lat istniejącą **Sukien i ubiorów damskich** przy ulicy Halickiej l. 18. Posiada również na składzie wszelkie najnowsze materje i przyjmuje zamówienia podług najnowszych mód paryskich i zagranicznych wykonuje — wszelkie zamówienia tak miejscowe, jak i zamiejscowe uskutecznia szybko i sumiennie po najniższych cenach. (3056-d-10)

Izaak Blech et Berstein *w Przemyślu* przy lwowskim trakcie, polecają swoje Łazienki parowe 2 razy w tygodniu t. j. we wtorek do 2 godz. dla mężczyzn, a od 2 do wieczora dla kobiet — i piatek cały dzień dla mężczyzn — a zaś wanny codzień do wieczora elegancko urządzone. (3069-d-3)

J. Sorin i Spółka *w Cognac* poleca: Cognac stary grande Champagne butelka po 3 złr. ½ butelk. 1·60. Jedyny skład dla Galicji u *Adolfa Inlendera* w Brodach. (3062-d-36)

J. GOLDMAN zegarmistrz, we Lwowie, ul. Halicka l. 21. poleca swój skład obficie zaopatrzony i wykonywa wszelkiego rodzaju reperacje. (3657-d-2)

Zakład Fotograficzny *B. Hennera* w Przemyślu (w rynku obok sądu) poleca swe wyroby fotograficzne wszelkich rozmiarów, oraz fotografje w formacie boudoirowym w Rembrandtowskiem oświetleniu po cenach umiarkowanych i stałych. Za staranne wypracowanie dają rękojmię uzyskane dyplomy i medale na wystawie światowej w Wiedniu 1873; na międzynarodowej wystawie w Londynie 1874; na wystawie fotograficznej w Wiedniu 1875; i na wystawie krajowej we Lwowie 1877 roku. *Odszczególniony* przyjęciem przez *Najj. Pana Album* z fotografii różnych miejscowości m. Przemyśla, oraz wnętrza katedry i starożytności, które to *Album* najwyższem postanowieniem udzielonem zostało bibliotece familijnej *Jego Ces. Mości.* (3068-d-2)

Zakład ogrodniczy *Józefa Skarbka* we Lwowie pod l. 21. na Rurach, znany szerszej publiczności od kilkudziesięciu lat, nagrodzony na wystawach lwowskich ogrodniczo-sadowniczych w roku 1853 i 1871, dwoma medalami srebrnymi i listem pochwalnym, dyplomem honorowym za wyroby bukietów i wieńców, ma zaszczyt przypomnieć się szanownej publiczności, nadmieniając, że dostarcza *bukiety balowe* z najwyborniejszych kwiatów, Manszety jedwabne i atłasowe w największym wyborze, bukiety, wieńce i girlandy weselne ze świeżych kwiatów na zamówienia *po cenach najtańszych*. Sprzedaż kwiatów w wazonkach rozmaitego rodzaju pojedyńczo i hurtem, oraz dostarcza kwiaty do dekoracji salonów. Zamówienia w najkrótszym czasie. (3059-d-3)

Skład karlsbadzkich koronek **Braci Reitznerów** poleca jak najtaniej. we Lwowie. plac św. Ducha l. 8. (3088-d 6)

Herbatę karawanową lądem sprowadzaną tylko w jednym gatunku, funt w. r. po 3 złr. poleca skład materjałów *Adolfa Inlendera* w Brodach. (3061-d-36)

G. Fleischmann, otworzył *Restaurację* na rogu ulicy Kamińskiego l. 6. i ul. Krakowskiej l. 25. pod srebrną baryłką". Restauracja ta została urządzoną z wielkim komfortem do największej wygody. Tamże dostać można wszystkie gatunki wybornych napojów po najumiarkowańszych cenach. (3092-d-3)

Jan Kauzal rytownik (graveur) w Krakowie, ul. Szewska l. 5. Ma zaszczyt zawiadomić, iż z dniem 1 Stycznia b. r. otworzył *Magazyn i pracownię*, w której przyjmuje roboty wszelakich pieczątek, oraz rytuje herby i monogramy na wszelkich metalach i kamieniu. Wyrabia pieczątki z kauczuku przewyższające, co do starannego wykończenia wyroby zagraniczne, po najumiarkowańszej cenie. Wszelkie obstalunki wykonują się w najkrótszym czasie. (3091-d-4)

Władysław Tomaszewski w Krakowie, przy ulicy Grodzkiej pod l. 88, poleca swój skład wszelkich wyrobów porcelanowych, szklannych, fajansowych, z masy kamiennej, oraz skład samowarów rosyjskich i tac lakierowanych. Skład herbaty, proszek do czyszczenia wszelkich metali, kit do sklejania porcelany i szkła, garnczki porcelanowe. Wszelkie obstalunki tyczące się skompletowania stłuczonej porcelany, jak również powyższe towary sprzedają się po cenach najumiarkowańszych. (3084-d-4)

Antoni Gaweł, *we Lwowie*, przy ulicy Gródeckiej l. 52. poleca swój handel zaopatrzony w towary korzenne jako to: cukier, kawę. herbatę, czekoladę, wino, sery, świece, kawior, sardynki, śledzie i inne w zakres handlowy artykuły wchodzące, jak najtaniej. Pokój do śniadań. (3087-d-3)

Feliks Feliński wielki skład i pracownia sukien męzkich własnego wyrobu we Lwowie, ulica Sykstuska liczba 1. (3086-d-4)

Roman Silberbach przedsiębiorca *robót szyferdekerskich w Krakowie*, podejmuje się pokrycia dachów łupkiem angielskim w dwóch kolorach (czerwonym i zielonym) jak również szlązkim po cenach najtańszych (3089-d-12)

Hermann Weis, farbiarnia i wywabialnia we Lwowie, ulica Brygicka liczba 7. (3094-d-4)

Skład Główny wszelkich materjałów budowlanych *Romana Silberbacha* w Krakowie przy regu ulicy Sławkowskiej i św. Tomasza pod l. 10. poleca po cenach fabrycznych: portland cement, gips murarski, rzeźbiarski i do uprawy roli, wapno hydrauliczne kufsteinskie, blachę cynkową i białą, szyfer czyli łupek szląski, angielski i belgijski, papę dachową czyli tekturę ogniotrwałą. rury steingutowe glazurowane zewnątrz i wewnątrz, cegły ogniotrwałe i glinkę cegłowę i w większych ilościach. posadzki cementowe i steingutowe, oraz wszelkie materjały w zakres budownictwa wchodzące. (3090-d-12)

Trawa miodowa (holcus lanatus) na grunta suche, lub wilgotne, zupełnie wyjałowione i liche, lub piaskowe, na pastwiska wyborna roślina, raz zasiana, trwa lat kilka, zasiew przywłoki nie znosi. 1 korzec wraz workiem 4 zł. 50 ct. w. a. przy odbiorze na raz 10 korcy dodaje się jeden korzec bezpłatnie. Zamówienia dostarcza Skład nasion *J. Bulsiewicza* w Bochni. (d-10)

Łubin żółty jeden korzec czyli 100 kilo i worek po 7 zł. w. a. poleca Skład nasion *J. Bulsiewicza* w Bochni. (d-10)

Józef Tillinger, introligator, ulica Karola Ludwika l. 5. Poleca swoją pracownię introligatorsko-galanteryjną i wykonuje wszelkie roboty w zakres introligatorstwa wchodzące, mianowicie: teki na dyplomy aksamitne i skórzane i wszelkie inne oprawy książek od najpojedyńczszych do najwykwintniejszych, w większych ilościach znacznie taniej, wszelkie broszury jak najtaniej obliczam tak, że śmiało konkurować mogę z zagranicą. Ręcząc za dobroć materjału i wykończenie, upraszam o najliczniejsze zamówienia. (3093-d-?)

Na porę wiosenną. Pracownia krawiecka i magazyn gotowych sukien męzkich i dziecinnych *Meilecha Bilbla we Lwowie, przy ulicy Sobieskiego l. 9.* Zaufanie, jakie zaskarbiłem sobie u P. T. publiczności, skłania mię do zwrócenia Jej uwagi na mój skład towarów krawieckich wszelkiego rodzaju, istniejący od 13 lat, tudzież na pracownię, która zasilana bywa najzdolniejszymi pracownikami, jak niemniej i na to, że jako fachowy krawiec, znając się na towarach, sprowadzam takowe z najlepszych i największych fabryk krajowych i zagranicznych, o czem P. T. Szanowna Publiczność mogła się dotąd najenaoniej przekonać. Jednem słowem, dokładam wszelkiego starania, ażeby doborowym towarem i rzetelną robotą zadowolnić Szanownych P. T. odbiorców. Przyjmuję do naprawy suknie wszelkiego rodzaju. W zamianę na nowe suknie, przyjmuję przenoszone za najtańszą dopłatą. Daję suknie na wypłatę pod umówionymi warunkami, lecz tylko Szanownej P. T. Publiczności we Lwowie zamieszkującej. Polecając się łaskawym względom Szanownej Publiczności pozostaję z uszanowaniem *Meilech Bilbel.* (3095-d-4)

Rajgras angielski prawdziwy jeden korzec wraz z workiem 12 złr. *Kostrzewa łąkowa* 1 korzec wraz workiem 12 złr. *Lucerna francuska* prawdziwa, garniec 4 złr. *Buraki olbrzymie* garniec 80 ct. *Marchew olbrzymia* czerwona słodka, garniec 80 ct. poleca Skład nasion *J. Bulsiewicza* w Bochni. (3029-d-10)

Owczarnia zarodowa

w Pstrągowy, Teofila Wasilewskiego, poczta Czudec, stacja kolei Rzeszów, lub Sędziszów, sprzedaje

BARANY

czystej krwi Negretti,

po cenie od 30 do 150 złr.

Zarząd dóbr Pstrągowa.

Polecenie towarów.

Polecać wszystkie nazwy kawy z jednego wora i wszystkie gatunki wina z jednej beczki — jest bezczelnością. Mogę tylko towary w przednim i najprzedniejszym gatunku według nazw własnych polecać i sprzedawać:

Cukier w głowie I. ct. 49, II. ct. 46 kl.
„ w kostk. „ „ 58, „ „ 50 „
„ w mączce „ „ 48, „

Kawa w wypróbowanych i uznanych z dobroci i wybornego smaku gatunkach: „Portocabello zielona" nr. I. 80 ct. nr. II. 90 ct. nr. III. 1 zł. za pół kilo.
— „Costaricca" pół kilo 70 ct.
— „Cuba zielona" nr. 0. 70 ct. pół. kil.
— „Perłówka zielona" zł. 1.05, żółta 85 ct. pół kilo.
— „Mocca arabska" zł. 1 pół kilo.
— „Jawa żółta" nr. I. 80 ct., nr. II. 90 ct., nr. III. 1 zł. za pół kiló.
— „Jawa brunatna" zł. 1.10, złota 95 ct. pół kilo.

Herbata „Congo" nr. 0. zł. 1.50 nr. I. zł. 1.75, nr. II. zł. 2.75, nr. III. zł. 2.75, nr. IV. zł. 3.25 za pół kil.
— „Souchong" nr. I. zł. 2.25, nr. II. zł. 2.75, nr. III. zł. 3.25, nr. IV. zł. 4.25 pół kilo.
— „Pecco kwiat" nr VI. zł. 3.25, nr. VII. zł. 4.25, nr. VIII. zł. 5.25 pół kilo.

Wysiewki herbaty (własnych herbat) zł. 1.50 pół kilo.

Jamajka rum nr. I. zł. 1, nr. II. zł. 1.10, nr. III. zł. 1.50, nr. IV. zł. 2.25, za butelkę.

Cognac francuski wyborny 24-letni zł. 4, 10-letni zł. 2.50, 2-letni zł. 1.50 za butelkę.

Porter prawdziwy angielski lepszy niż Holla piwo słodowe, butelka 60 ct., pół butelki 40 ct.

Sok malinowy prawdziwy kilo zł. 1.60, flaszka 50 i 25 ct.

Powidła słodkie i czyste kilo 82 ct.

Rodzynki bez pestek 1 kilo 80 ct.
„ z pestkami 1 „ 72 „
„ czarne 1 „ 60 „

Migdały słodkie 1 kilo zł. 1.30.

Bryndza wyśmienita kilo 72 ct.

Śledzie solone, **Sardynki** w oliwie i w occie.

Ser ementalski, szwajcarski, Romadour i Limburgski po najtańszych cenach.

Krochmal pszeniczny 40 ct., ryżowy 54 ct. za kilo.

Ryż włoski 48 ct., długi 40 ct., krótki nr. 1. 26 ct. nr. II. 32 ct. za kil.

Wina naturalne i rozolisy podług osobnych cenników.

Krochmal połyskujący dotychczas celowi najlepiej odpowiadający, przyjemny w noszeniu delikatnej bielizny i zatrzymujący trwale białość i sztywność, którą z Niemiec, Anglii, i Austrji sprowadzane, nie posiadają i tylko przez szarlatańskie ogłoszenia i kolorowe opakowania błyszczą. Tylko gospodynie i osoby trudniące się praniem bielizny, mogą to kompetentnie osądzić i moje dowodzenia potwierdzić. Paczka zawiera 4 pakieciki, i aby tanim ofertom za złe wyroby zapobiedz, kosztuje od dzisiaj tylko 14 ct., pojedyńcze pakieciki po 4 ct.

Masa woskowa do zapuszczania posadzki, nieporównanie najlepsza i długo trwająca w 6ciu kolorach, a prawdziwa tylko z moją marką fabryczną i opakowaniem. pudełko 60 ct.

O. T. Winckler

we Lwowie.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: *Juljan Piotrowski.*

Z drukarni K. Pillera.